

Z wysokości La Quebrada rozciągał się wspaniały widok na Ocean Spokojny. Wzrok biegł aż po horyzont. Schodziłem po schodkach, oczyma wyobraźni przenosząc się do czasów mych podbojów w Azji. Jako waleczny Aleksander pokonywałem bojową trierą poznaczone wyspami wody Morza Mirtejskiego i Kreteńskiego. Muzyk na flecie poddawał rytm napinającym mięśnie wioślarzom. Wydymane przez wiatr żagle miały jednak inne kształty niż obecnie. Teraz wiosła zastępował niewielki silnik, a wioślarstwo urosło do rangi dyscypliny sportowej. Żeglowało się dla przyjemności.

Dotarliśmy na miejsce. Lena zaciągnęła mnie tu, bo chciała obejrzeć mrozące krew w żyłach pokazy skoków do wody. Były one swoistą wizytówką i symbolem Acapulco. *Los clavadistas* codziennie ryzykowali życiem, rozślawiając ten meksykański kurort. I czynili to po mistrzowsku, zważywszy, że najlepsi rzucali się z urwiska do otoczonej skałami wąskiej zatoczki z wysokości trzydziestu pięciu metrów, co stanowiło odpowiednik co najmniej dwunastopiętrowego wieżowca. Do tego dochodziły skomplikowane ewolucje w locie. Skakali też po zmierzchu, trzymając w rękach zapalone pochodnie.

Skąpo odziana dziewczyna wisała mi na ramieniu, łaskocząc swymi włosami, a meksykańscy chłopcy modlili się, klęcząc przed figurką Matki Boskiej z Guadalupe. Na wypukłościach pobielanych kamiennych kapliczek znaczyły się plamy błękitu. Staliśmy po drugiej stronie szczeliny skalnej na tarasie widokowym. Otaczający nas turyści filmowali ekstremalne popisy, kończące się nurkowaniem w spienionej wodzie, nagradzając je oklaskami.

— I jak? Zadowolona? Sam bym się nie zdecydował, nie ma głupich — żartobliwie dmuchnąłem jej do ucha, pieszczotliwie obejmując ją w pole. — Ostatecznie mógłbym robić za maratończyka, ale nie za gladiatora. To dobre dla niewolników.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Odgarnęła opadający ko-

smyk włosów. Jej niebieskie oczy mocniej zabłyszczały, gdy spotkały się z moim wzrokiem.

— To fakt, nazywają tych skoczków gladiatorami — zauważyła. — Nie są niewolnikami, nikt ich do tego nie zmusza. — I zaraz filozoficznie dodała: — Ziemiań cechuje pęd do ryzykownego przekraczania granic. Dziwi mnie ich brawura, bo przecież nie są tak wyposażeni jak my...

Zabrakło słowa „android”. Zauważyłem, że stara się go unikać, jakby kojarzyło się jej z czymś przykrym.

— A poza tym mają tylko jedno życie, więc dużo więcej od nas do stracenia — z namysłem dorzuciłem. — Chodź, nie będziemy tu sterczeć do wieczora — bez zniecierpliwienia ją ponagliłem, przytulając do siebie. Skoki się skończyły, więc szukający nowych wrażeń faceci ciekawie zezowali w jej stronę. Przyciągała ich jak magnes. Kierowali ku niej aparaty fotograficzne, co mi się nie podobało. — Pora na obiad!

Wracaliśmy żółtą taryfą do hotelu. Moja nimfa milczała, wspierając mi ufnie głowę na ramieniu. Avenida Costera Miguel Alemán ciągnęła się wzdłuż całej Bahía de Acapulco, przechodząc po drugiej stronie zatoki w Carretera Escénica. Aby dotrzeć do pięciogwiazdkowego Las Brisas Acapulco, trzeba było pokonać dystans piętnastu kilometrów. Ująłem dłoń dziewczyny, z czułością bawiąc się jej szczupłymi palcami. Oglądałem wszystkie po kolei, jakby zdziwiony, że ma ich pięć.

Uzmysłowiłem sobie, że Lena jest dla mnie kimś więcej niż tylko precudnym kociakiem, którym można chwalić się na prawo i lewo. I zbierać zazdrosne spojrzenia mężczyzn. W moim stosunku do niej znaczyło się coś na kształt rodzicielstwa. Nie wytrącało mnie ono jednak z równowagi, czego obawiałem się w kurorcie na Neeidzie, kiedy senna rusałka instynktownie szukała oparcia, ciągnąc do mnie jak ćma do światła. Przeciwnie, stanowiło rodzaj duchowego spełnienia. Bezgranicznie mi zaufała i czułem, że moim najświętszym obowiązkiem jest usuwać jej kłody spod nóg. Byłem gotowy

na nią chuchać i dmuchać, osłaniać ją i bronić, nawet gdybym miał słono za to płacić i mierzyć się co rusz z groźnym strażnikiem drugiego poziomu. I nie wiadomo, z kim jeszcze w nieogarnionym kosmosie.

Hotel miał dobrą markę, był zaliczany do setki najlepszych na świecie i mógł kojarzyć się z prawdziwym rajem. Włożono 20 milionów dolarów w jego renowację i w efekcie tworzył oazę dojmującego spokoju i ciszy. Uznałem więc, że dobrze wybrałem, szukając przytulnego gniazdka dla pary gruchających gołąbków. Przegrywał z Las Brisas nawet nasz kurort na Neeidzie w Galaktyce Andromedy. Otoczony barwną tropikalną roślinnością, szczególnie hibiskusem, oferował na zboczu wzgórza na kilku poziomach urocze *casitas* w stylu bungalowu z niewielkimi basenami i tarasami. Całość była zaprojektowana na planie półksiężyca. Wnętrza były ze smakiem urządzone, choć nieco w stylu retro. Każdego ranka życzliwy personel dostarczał do pokoi kawę, słodkie bułeczki i świeże owoce. Kto chciał, ten korzystał z relaksujących masaży, łaźni parowej i sauny. Do tego dochodził zapierający dech w piersiach widok na okolicę. Wieczorami można było kontemplować cudowne zachody słońca nad Pacyfikiem. Białe i różowe jeepy kursowały do prywatnego klubu La Concha na plaży, czynnego również w nocy. Witały tam gości trzy akweny, dwa ze słoną wodą połączone z morzem i jeden ze słodką.

Cieszyliśmy się sobą już drugi dzień. Kiedy pojawiłem się w zacisznym bungalowu po wcześniejszej wizycie w recepcji, naga Lena niczym syrena z Morza Egejskiego kąpała się w basenie pośród płatków czerwonych róż. Przywitała mnie radosnym uśmiechem. Jej widok dodał mi skrzydeł i jak zbzikowany małolat wskoczyłem do niej w ubraniu, wyrzucając fontannę dżdżu. Na szczęście, miałem na sobie tylko kwieciste bermudy i granatowy T-shirt. Syciliśmy się sobą w wodzie, przytuleni do siebie i szczęśliwi. Miłość rozkwitła w moim sercu. Kochałem ją do utraty tchu, nieprzytomnie, do szaleństwa. Całowałem jej cudowne piersi i usta. Pomogła mi ściągnąć

mokre rzeczy, wytarła ogromnym ręcznikiem i wylądowaliśmy na szerokim łóżku, wędrując dalej po krainie pieszczot. Zaniósłem ją tam na rękach. Wieczorem siedzieliśmy na tarasie, odziani w białe hotelowe szlafroki. Karmiliśmy się nawzajem słodkimi jak miód winogronami, z oddaniem zaglądając sobie w oczy. Piliśmy sobie z dzióbków.

Miałem wiele kobiet, ale nigdy tak bliskiej przyjaciółki i po wspólnie spędzonej nocy czułem, że oszalałem na jej punkcie. Czy cyborgi mogły kochać się do grobowej deski? I przeżywać nieopisane eksplozje namiętności? Czy ich elektroniczne układy na to pozwalały? Była doskonale zbudowana, idealna w każdym calu i uosabiała najlepsze kobiece cechy, więc nie zamierzałem błagać Or-Mata o genetyczne poprawki. Tak piękne, szczupłe i jędrne ciało było marzeniem każdej kobiety. W Acapulco rozkoszna partnerka dała mi znacznie więcej niż w kurorcie na zboczu Dekstecyzy. Może dlatego, że nie plątali się wokół nas rozprasający uwagę agenci.

Przypomniał mi się nagle Lizyp z Sykionu, grecki rzeźbiarz, który uwieczniał mnie w kamieniu, kiedy byłem Aleksandrem Wielkim. Mój nadworny artysta przedstawiał mnie w sposób ipsisue królewski. Głowę miałem zwykle odrzuconą do tyłu i nieco przechyloną na lewe ramię, wzrok wzniesiony ku górze, włosy krótkie, zaczesane, dzielące się pośrodku i faliście opadające ku uszom. Nieoczekiwanie nabrałem ochoty, żeby postarać się o posąg nagiej Leny w białym marmurze. Pieszczotliwe objąłem agentkę i przytuliłem do siebie. Nie musiałyby pozować w stroju Ewy. Komputery drugiego poziomu poradziłyby sobie z takim wyzwaniem, a przy tym uporałyby się z nim szybciej niż zdolni greccy kamieniarze. Umieściłbym stojącą rzeźbę w rogu apartamentu, by każdego dnia w wolnych chwilach móc ją adorować.

— Jesteś dziwnie czujna, jakbyś obawiała się, że ktoś nas śledzi! — żartobliwie pociągnąłem ją za język, gdy wysiedliśmy z żółtego garbuska. Meksykański kierowca taksówki nie zdziwił się wysokim napiwkami. Przed tym romantycznym hotelem był on całkiem

na miejscu. — Czy stało się coś, o czym nie wiem?

Zrobiła taką minę, jakby była małą dziewczynką, przyłapaną na kłamstwie. Jej złote włosy mieniły się w słońcu. Nie grała przede mną, nie przywdziewała maski i nie epatowała pozą gwiazdy filmowej.

— Muszę się przyznać, niedźwiadku, wydaje mi się, że coś spieprzyłam — wstydliwie wyznała, spuszczać wzrok. Zaraz jednak podniosła oczy i znowu mogłem zajrzeć w ich cudowną głębię.

— Dobra, nie wierzę, pogadamy przy obiedzie — skwitowałem, nie pojmując, co mogło się stać. — Chodzi o tę Ritę Craven? — ciekawie zapytałem.

Na jej twarzy malowało się zdumienie. Nie miała pojęcia o meandrach drugiego poziomu.

— Wiesz, jakie mam zadanie? To będzie mi łatwiej.

— No, nie wpadaj w pesymizm — zabuczałem i pieszczotliwie wziętem ją pod podbródek. — Nie sądzę, żebyś coś schrzaniła, kwiatuszku! — Cmoknąłem ją w usta i delikatnie przytuliłem do siebie. — Jesteś znakomitą agentką. Ze świecą takich szukać — orzekłem z powagą i odrobiną wzruszenia. — Na pewno odrobiłaś tę lekcję jak trzeba.

Poszliśmy do bungalowu, żeby się odświeżyć, po drodze chwilę błądząc, bo luksusowych domków było jak grzybów po deszczu, a potem do restauracji El Bellavista. Siedzieliśmy na tarasie i delektowali morską bryzą. Towarzyszył nam niezrównany widok na zatokę. Personel dawał gościom do zrozumienia, że uświetniają to miejsce swoją obecnością. Zamówiłem krem z krabów, pierś z kaczki, a na deser *tiramisu*. Govanni, obsługujący nas kelner, stawał na głowie, byśmy byli zadowoleni. Zaproponował odpowiednie wino.

— Mów, kochanie! — zachęciłem Lenę. — Twierdziłaś, że coś ci nie wyszło.

Opowiedziała pokrótce o akcji na Ritę i o zwędzonej jej komórce. Potem o agentach, którzy wieczorem przypięli się do hotelu. Wyслуchałem jej ze zmarszczonymi brwiami.

— Ciekawe — mruknąłem. — Nie przewidywałem komplikacji. Pomyślałem, że po obiedzie połączę się z Trójkiem i poproszę go, żeby to sprawdził. — Spróbuję się szybko czegoś dowiedzieć. A potem ci powiem! — obiecałem.

Or-Mat uwinął się z tym zadaniem w godzinę. Połączył się ze mną, kiedy wypoczywaliśmy w klubie plażowym „La Concha”. Byliśmy wyciągnięci na białych leżakach. Wysłuchałem go, a potem wróciłem do opalającej się agentki.

— I jak? — zapytała. — Wiesz już coś?

Wyciągnąłem się obok niej wygodnie.

— Niczego nie spieprzyłaś — pocieszyłem ją. — Był faktycznie nalot na ten hotel, ale nie miał z tobą niczego wspólnego. Policja szukała zbiegłych przestępców. Ritę Craven znaleziono dopiero rano następnego dnia. Pokojówka zajrzała do jej numeru. Lekarz stwierdził atak serca.

Podniosła się. Minę miała niewyraźną.

— Psiakość — usprawiedliwiła się speszona. — W takim razie bałam się na wyrost. Myślałam o spotkaniu z tobą i...

— Rozumiem — rzuciłem uspokajająco i zasłoniłem jej dłonią usta. — Nie wracajmy do tego. — I dodałem: — Jutro muszę się zmywać, a ty masz jeszcze jedno zadanie. Porozmawiajmy raczej o następnym spotkaniu.

Lekko zbladła. Z jej oczu wyczytałem, że to dla niej sprawa życia i śmierci.

— Tak? — ulegle zapytała.

— Android nie może mieć wciąż tego samego ciała. Co najwyżej trzy razy pod rząd. A to już twoja druga misja. A właściwie trzecia. Muszę więc znaleźć dla ciebie ekstra zadanie, pozwalające ci na dłuższy pobyt na Ziemi. Najlepiej trwający kilka lat. Byłbym wtedy w stanie regularnie cię odwiedzać...

Odetchnęła z ulgą.

— Cudowny jesteś — pochyliła się czule nade mną i pocałowała w czoło.